Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36śé Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Środa 14 Listopada Nr 29. 1838 Roku.

RÓŻA MARTIN.

S FRANCUZKIEGO.

(DOKOŃCZENIE.)

Pan Lenoir, zostawszy sam na sam w pokoju, poddał się całkiem zapalczywości swego gniéwu. Surowy ten spekulant, który dla swojego dłużnika żadnéj nieczuł litości, i który swe piéniądze uważał za towar kupiecki, co mu podobnie jak każdy inny, procenta niéść powinien; niémógł tego pojąć, jak można być tak nikczemnym, by oszukać biédną i niewinną dziewczynę.

Napisał do swego syna bilet z rozkazem, aby natychmiast do niego przyszedł. W godzinę poźniéj stanął Juliusz Lenoir przed swoim ojcem.

Bankier miał dosyć czasu do ułożenia w myśli sceny, którą dla swego syna przygotował. Na twarzy jego osiadła znowu dawna ponura spokojność. Młody Lenoir nieprzeczuwał bynajmniéj, co się wydarzyło, i niewiedział dla jakiego powodu rozkazał ojciec tak niespodzianie, by się niezwłocznie przed nim stawił. Gdy Juliusz wszedł do pokoju, pan Lenoir zajęty był pisaniem listu, i udawał, jak gdyby niepostrzegł stojącego przed sobą syna, który s trwożliwością zwrócił swe oczy na leżące na biurze pistolety. Ponieważ tajemnicze milczenie to zaczęło nareście przykrém być dla Juliusza, niby więc dla rozrywki, lub dla zajęcia się jakową rzeczą, wziął pistolet do ręki. Atoli dreszcz go przejęła, gdy ojciec obróciwszy się znienacka, spójrzał na niego strasznym wźrokiem. Czuł, iż pobladł na twarzy, a serce jego zaczęło bić gwałtownie. Nareście powstał pan Lenoir, zapieczętował list i rzucił go przed siebie, nienapisawszy na nim adressu; potém obrócił się do Juliusza i złożywszy na krzyż ręce, wlepił w niego wźrok przenikający. — Juliusz spuścił w ziemię oczy; nigdy jeszcze niewidział

tak straszliwym swojego ojca. — » Niémasz jeszcze lat dwadzieścia i dwa, » rzekł pan Lenoir; «jesteś dopiéro w dwudziestym drugim roku, a jednak, jak się zdaje, piéniądze mają u ciebie więcéj wartości, aniżeli u mnie. Już od dawna mówisz mi, iżbyś chciał pojąć jaką bogatą osobę za żonę, i spostrzegam, iż tym ważnym przedmiotem zajmujesz się s taką gorliwością, jaka w twoim wieku prawie zawczesną się mi być wydaje. S tego wszystkiego wnoszę, że piéniądz ma dla ciebie bardzo wielkie powaby Juliuszu?» — «Niémogę zaprzeczyć,» odrzekł Juliusz jąkając się, » iż zasady i nauki, któreś ojcze już za młodu wpoił we mnie, mocno utkwiły w mojém sercu, i przyznaję, iż życzenie moje — « — «Tym więc sposobem wczesna żądza bogactwa stłumiła w tobie wszelkie inne uczucie?» rzekł spekulant z goryczą. — «O jakiémżeto uczuciu mówisz, mój ojcze? Niemówiłżeś mi sam, iż świetne stosunki i poważanie, którego w społeczności doznajesz, korzystnemu ożenieniu się winien jesteś?» — «Prawda, iż korzystne ożenienie było początkiem mojego znacznego majątku. Lecz sądzę, żem ci także powiedział, iż nadewszystko cenię tego człowieka, który, gdy idzie o przywrócenie honoru cnotliwéj dziewczynie, którą swą występną miłością unieszczęśliwił, niesłucha żadnęgo innego głosu, jak tylko swego sumienia. « — «Prawda ojcze, iż to mówiłeś,» odrzekł Juliusz blednąc na twarzy. — «Gdybym ci więc majętną zaproponował osobę, mógłżebyś ty bez zapłonienia przyjąć jéj rękę?» — «Przebacz, mój ojcze!» zawołał Juliusz padłszy mu do nóg; «przyznaję, iżbym niémógł przyjąć jéj ręki!» — «Ha! więc przyznajesz się i do téj zbrodni?» zawołał stary Lenoir, i porwawszy w gniéwie ze stolika adres dentysty, trzymał go swemu synowi przed oczyma. — «Cóżto za papiér?» zapytał Juliusz drżący i jak trup blady. — «Jestto fałszywy banknot, któryś ty dał córce Martina. Czy go poznajesz? Nikczemniku!» — «Niezaprzeczam ojcze, żem wczoraj Róży Martin dał pugilares, w którym był bilet na tysiąc franków; ale wzywam Niebo za świadka, że banknot ten niebył fałszywym. Ja sam miałem go w ręku, przypatrzyłem się mu dokładnie. To niémoże być ten sam bilet. Oszukano cię, mój ojcze. Zabij mnie

natychmiast, jeżeli mi niewierzysz, lecz przysięgam ci na mój honor, żem niewinny!» — Stary Lenoir, usłyszawszy głos, którym Juliusz mówił s taką pewnością, i widząc rospacz, malującą się w jego twarzy, oniemiał z zadziwienia. «Co za straszliwa tajemnica,» rzekł sam do siebie, poglądając na swego syna badawczym wźrokiem, w którym niepojęcie i wątpliwość czytać się dawały. «Niémogę temu wierzyć,» rzekł nareście, ażeby dziewczyna aż do tego stopnia udanie posunąć mogła; niepodobna, ażeby jéj rospacz i zemdlenie były zmyślone!... Juliuszu! ty mnie oszukujesz!» zagrzmiał starzec głosem przerażającym. — «O jakiéjże dziewczynie mówisz, mój ojcze?» — «O jakiéj? o Róży Martin; o niéj saméj. Tu jeden tylko jest przypadek: Albo ty, który ją spotwarzasz, jesteś od niéj stokroć winniéjszym, albo ona, która tak złudnie grała swoję rolę, jest najbezwstydniéjszą pod słońcem obłudnicą!» — » Kto, Róża? Róża obłudnicą?« zawołał Juliusz. «O mój ojcze, niewiérz temu! Ona jest aniołem, czystą jak sama cnota; ja to, ja sam godzien jestem kary; jamto nadużył jéj niewinnéj miłości! Nieprawdaż ojcze, ona ci nieprzyniosła tego biletu? Nieprawdaż ojcze, że to nie ona!« — «Mówię ci, że mi ona sama go przyniosła.» — «Niepodobna, mój ocze! Zapewne ktoś przybrał jéj nazwisko, aby cię oszukać! Wszakże nieznasz jéj ojcze.» — «Znam ją i mówię ci, że mi ona sama go wręczyła.» — » Choćby i tak, ona przecież jest niewinną; nato ci ojcze przysiądz mogę!» — «A zatém ty jesteś winowajcą. Ty sam, a nie kto inny.» — «Ojcze, ojcze! oto na klęczkach przysięgam ci, że to niejest ten sam banknot, który od mego przyjaciela otrzymałem.» — «Jeżeli tak, starajże się przynajmniéj dociéc jéj tajemnicy.» — Juliusz nakrył czoło swoje obiema rękami i zamyśliwszy się mocno, usiadł na krześle. Nagle zerwał się z swego miejsca, a radosny uśmiéch przebiégł po jego twarzy. — «Teraz sądzę, żem odkrył tę straszną tajemnicę!» zawołał. «Ale będzieszże mi wierzył, mój ojcze?» — «Omal nieuwierzę, iż się okaże, że oboje niewinnymi jesteście.» — «Od dni kilku przyjaciel mój, Karol, przyrzekł mi pożyczyć kwotę potrzebną do uwolnienia pana Martin z więzienia. Wczoraj znowu

do niego się udałem! zamówił mnie na wieczór. Możesz sobie wyobrazić ojcze, żem nieomiészkał stawić się na czas przeznaczony. Zastałem tam kilku moich znajomych, a Karol rzekł mi scicha do ucha, iż mi banknot na tysiąc franków natychmiast wręczy, skoro się obecni rozéjdą. Dozwalał mi dla mego przekonania wziąść banknot do ręki, ale oparł się koniecznie, że go niepiérwéj wziąść mogę, aż z nimi zjadłszy wieczerzę, już do domu odchodzić będę. Sądząc się mu bardzo być obowiązanym — pozostałem. Poczém dano wieczerzę, albo raczéj bankiet; a gdyśmy już rozchodzić się zaczęli, Karol wcisnął mi skrycie do ręki pugilares, który przejrzéć ani mi na myśl przyszło, zwłaszcza, iż głowa moja była nazbyt winem rozgrzana, a umysł za nadto wzruszonym, abym tyle mógł miéć przezorności w téj chwili. Tym sposobem niewiedziałem, że banknot jest fałszywy, gdy uniesiony radością do Róży pospieszyłem... Dopiéro teraz poznaję, iż byłem zwodniczego żartu igrzyskiem. Wszyscy obecni byli zapewne o tém uwiadomieni. Przypominam sobie dokładnie, iż nikczemnik ten, który mnie zaprosił na wieczerzę, bez ustanku dolewał mi wina, i że przyjaciele jego głośno się śmiali, gdy niekiedy ozwał się z jakiém słowem, którego znaczenia nierozumiałem, a którego znaczenie teraz aż nazbyt się wyjaśnia! Oto jest ojcze, cała prawda! Tak się ma rzecz, a nieinaczéj; przysięgam ci, mój ocze!» — » Kiedy tak, dobrze,» odrzekł pan Lenoir porwawszy w rękę pistolety; «spodziéwam się, iż człowiek honoru niedozwoli, aby z niego bezkarnie żartowano. Oto masz broń — ja będę twym sekundantem.» — «Kochany ojcze! właśnie uprzedzasz moje życzenie.»

* * *

Rzecz się miała tak w samej istocie, jak ją Juliusz przed swoim ojcem opowiedział, a że młody człowiek, który go za cel niewczesnego swojego żartu obrał, za urazę osobiście przeprosił; zatém całą tę sprawę załatwiono po przyjacielsku.

Pan Lenoir, powróciwszy do domu ze swoim synem, który już go o całym wypadku swéj miłości na drodze uwiadomił, oddał mu list, który był przed kilką godzin w jego obecności napisał: List ten miał adres bar-

dzo pojedyńczy: «Panu Martin, w więzieniu *St. Pelagie.*»

Gdy Juliusz list ten przyniósł biédnemu starcowi, nié mógł znieść surowego wźroku, którym go przywitał, i spuścił w ziemię oczy; treść listu była następująca:

»Mości panie! Prawo chce, »abyś mi s procentem tysiąc franków wypłacił, zanim jeszcze »wyjdziesz z więzienia; a że w »téj chwili niejesteś w stanie wypłacenia mi téj kwoty, starać »się więc będziemy pogodzić »z sobą innym sposobem, gdyż »bardzo mi wiele zależy na téj »ugodzie — s powodów, których »teraz powiedziéć niémogę, a »o których się dowiész jeszcze »dzisiaj wieczorem w mém pomiészkaniu. Oddawcy tego listu »oświadcz waćpan ustnie, ażali »zamyślasz oddać mu za żonę »córkę swoję? Nie on, lecz ja »waćpana o to proszę. Teraz »nic więcéj nienadmienię, jak »tylko, że mocno zbłądzono, i »że błąd ten naprawić do mnie »należy. Jakoż i honor waćpana »tego wymaga. Chciéj waćpan »bez zarzutów skłonić się ku »prośbom Juliusza, i nieodmawiaj mu ręki córki swojéj, o »którą ja upraszać się ośmielam; bądź oraz tak grzeczny, »udać się natychmiast razem »z nim do mego pomiészkania. »Czekam waćpana. W dowód »méj rzetelności, zostajesz w téj »chwili z więzienia wypuszczo»nym. Córka waćpana jest u mnie »i pragnie uściskać jak najprędzéj swego ojca.

»Uniżony sługa Lenoir.«

Byłobyto nadaremném usiłowaniem chciéć opisywać, co się działo w duszy Martina. Niebyło to uczucie gniéwu, które powstało w jego sercu, albowiém rozbroił go wźrok Juliusza ku ziemi nachylony — niebyłato wdzięczność dla starego bankiera, albowiém świéża pamięć więzienia i skrzywdzenie jego córki, cisnęły mu przeklęstwo w jego usta. Jednakże stary Martin zdrowym, naturalnym rozsądkiem obdarzony, poznał wkrótce, iż jedyny środek do wynagrodzenia krzywdy, te same podają mu osoby, które do niéj były powodem. S posępną twarzą poszedł za Juliuszem; lecz skoro piérwszym krokiem wstąpił w zaludnioną wesołym tłumem ulicę, ocknęło się w nim uczucie tkliwości. Zmiękczone serce skłoniło się do pojednania. Ze łzami w oczach wziął za rękę

młodzieńca i rzekł mu: «Synu mój, staraj się uszczęśliwić moję córkę!»

A Juliusz dotrzymał słowa!

ALEKSANDER PODOLIŃSKI.

Jedno s piérwszych miejsc między żyjącymi dziś rossyjskimi poetami zajmuje Aleksander Podoliński. Jest on uczniem Puszkina i zastępuje w części jego stratę swoim rodakom. Moc i słodycz wysłowienia, które zdaje się dziedziczyć po swoim mistrzu, łącznie z delikatnością czucia jest wybitniéjszą tworów jego cechą, jednającą im wielką wziętość u kobiét. Do większych kompozycyj należy jego poemat «Śmierć Peri,» do którego z jednego ustępu w Lalaruk Mura wziął pomysł. Mimo wad, jakie możnaby wykryć w jego całości, odznacza się głębokością pojedyńczych obrazów. Takim jest między innémi sam początek załączony tu w wiernym przekładzie.

I.

Gniéwny, mroczny i potężny,
Na skrzydłach piorunnych burz,
Jak śród niezbrodzonych mórz
Zwiru, olbrzym niebosiężny,
Uragan, nocną mgłą strojny,
Wstał — i Nil wezwał do wojny.

Na skrzydeł wrogowych świsty
Ocknął się i Nil wełnisty:
Złością przeniknion do wnętrzy,
Rwie się i pieni i piętrzy,
Sierdzistą falą wywija,
Jak żądłem deptana żmija.

Sparły się. Straszną i piękną
Ta walka. Niebo i ziemia
Naprzemian zagrzmią, to stękną;
Raz pomrok i kurz je sciemia,
Znów s przelotną błyskawicą
Strugami pereł zaświécą.

Dokoła ryk, jęk i bój.
Jak orzeł, nim na łup swój
Uderzy, w podniebiu tonie,
Tak wichr w ustawnym rozgonie
Tłucze o Nil, i włakomy
Gardziél wtłacza żwir i gromy.

Gromadą bezdennych wód
Zakipiał nilowy bród,
I wnet krokodyle garło
Żwiry i gromy pożarło,
A nad niém rzędami skał
Za wałem toczy się wał.

Z ostatkiem siły, niezbłagan
Pół stepu wzruszył uragan,
Pomiędzy kręte wpadł jary,
Uderzył — z łożysk Nil stary
Wytrącił, i dwojgiem stron
Jak jeńca popędził w plon.

Niehamowany wraz wpada
W grody, sioła, bory, stada,
Powodzią wypartéj fali,
Zaléwa niwy, bór wali,
I w głąb piasków, syt połowu,
Ze zgrozą powraca znowu.

II.

Twórczym promiéniem zarumienił (świty
Tajny duch świata płynąc po niebio- (sach ,
Przejrzystém złotem odziéwa błękity,
Rubin i perły sypie w rannych rosach,
Stchu kwiatów tworzy obłok biało- (grzywy
W srébrze skąpany, jak morze burzli- (wy.

Odziana tuczą, piekieł broń i siła,
Groza krawędzi niebios się czépiła,
Wyjrzał dzién biały, i s wschodniéj (krawędzi
Strzała za strzałą jéj łono przepędzi,
Padł nocny olbrzym strącony i skłuty,
Krwią zrumieniwszy siadło swojéj buty.

I gdzie ział ogniem duch-burzy, (duch-mroków
Szatańskie plemię wyzywał ku wojnie,
Promienne strugi bez cugli, bez oków,
W ogromną przestrzeń leją się spokoj- (nie.
Wzniosło się niebo, błękit rospromie- (nia,
Jasno i cicho jak w ranek stworzenia.

III.

A ziemia? — Spójrzyj! to z ramion
Napaśniczych uragana,
Oblubienica wyrwana:
Przestrach i walkę ze znamion
Odgadniesz; pięknego czoła
Dotąd wygładzić niezdoła;
Nieład w jéj jasnych warkoczach,
Otwarte usta, łzy w oczach,
A pierś strudzona, téj chwili
Naprożno westchnąć się sili.
Podobne jawiła lica
Żyzna nadnilu ziemica
Potrójną walką znękana:
Grozy, fali, uragana.
Jak gdyby rozdarte stroje
Oblekła lekkie mgły zwoje,
Lecz widno bliznę przy bliźnie:
Gdzie ledwie promién dnia wśliźnie,
Tam Nil, rozlany w ruczaje,
Głębokim rowem pierś kraje.
Jéj czołem piorun z ukosa
Przemknął, a kędzior jéj włosa,
Topole, cisy i brzozy
Wyrwane przelotem grozy.
Darmo kryształy miéniące
Po szmaragdowéj wpiérw łące
S poranną sypią się rosą
Scięła jéj kwaty, jak kosą,
Zamieć; jéj zieleń zasuły
Kamiénie, piaski i muły,
I oto z rozkosznéj błoni
Step bez barw, kwiecia i woni;
W dalekiém pastwisk zakolu
Nieujrzysz stada na polu,
A gród i sioło po burzy
Rozwalinami się kurzy.
O, wstąp do Gizech! z wyżyny
Piramid baczny wźrok wyślij,
Jakiż natłok uczuć, myśli
Wzbudzi widok téj krainy!
Cztérdzieści wieków lała krew,
Widziała wojny pożar, siecz,
Lecz dziś nie bój, nie żar, nie miecz,
Dziś przeszedł z grozą boży- (gniéw.
Ten gniéw od osi do osi
Zarówno kwiatom cedr kosi,
I winowajcę wraz z domem
Roztoczy gromem. A.*.

—ooooooo—

COMBE I TAMISIER.

Tak się zowią dwaj podróżni, młodzi ludzie, którzy bez wszelkiéj zachęty i pomocy odbywszy własnym kosztem nader niebezpieczną podróż do Abissynii, obecnie ją pod tytułem: *Voyage en Abyssinie, dans les pays de Galla, de Choa et d'Ifat*, w 4ch tomach wydali. Dziennik podróży ich pisany jest po prostu, i zawiéra nowe odkrycia, dotyczące się dziejów narodów koczujących w Afryce. Combe i Tamisier błąkali się po kraju Galla i Abissynii; w jedném miejscu przyjęci najżyczliwszą gościnnością, w drugiém znowu byli na tysiączne udręczenia i groźby, tak dalece, iż omal niepadli ofiarą chytrości i niedowiérzania naczelników hord barbarzyńskich. Jakkolwiek przebiégali miejsca, które już przed nimi Salt i Bruce zwiédzili, jednakże o stanie tych okolic dokładniéjsze podają nam objaśnienie. W niektórych okolicach ziemia jest bardzo żyzna, obfitująca we wszelkie płody, a niezbędne potrzeby do życia są bardzo tanie. Miészkańcy są pojętni, ale zdolności ich zdają się być uśpione, i podobno nic niejest w stanie wyrwać ich z letargu, który się wszelkiemu rozwinięciu sił umysłowych, wszelkiemu postępowi sprzeciwia. Podróżni nasi są tego zdania, iż Europejczykowie tém łatwiéj mogliby w tych krajach znaczne zaprowadzić odmiany, ileże pomiędzy tamtejszym ludem upowszechnione jest to podanie, iż przyjdzie czas, w którym biały król w tym kraju założy swą siedzibę. Jakoż w wielu włościach byli nasi podróżni s tym przyjęci okrzykiem: «Patrzcie, oto nam idą królowie!» A lud tłumem cisnął się dla zobaczenia ich oblicza. Prawie wszędzie chciano zatrzymać ich u siebie, a niektórzy naczelnicy plemion obiecywali im nawet świetne nagrody, aby u nich osiedli. Pamiętnik ich podróży jest pełen przygód i podziwnych zdarzeń: obéjmuje krótki zbiór dziejów Abissynii i chronologiczny spis jéj władzców; nakoniec rzuca światło na handel, przymysłowy stan i cenę żywności, nadto prostuje błędy, które się poniekąd w dziełach Salta i Brucego znajdują.

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.